


Prof. dr hab. Aleksander Nawarecki

Uniwersytet Śląski w Katowicach

UNIWERSYTET WARSZAWSKI
WYDZIAŁ POLONISTYKI
wpłynęło dnia 1.03.2017



Recenzja rozprawy doktorskiej mgr Artura Hellicha pt. *Autobiografia drugiego stopnia. Strategie gry z konwencją.*

Nieczęsto czyta się polonistyczne doktoraty napisane w podobny sposób - krótko, zwięźle, wręcz lakonicznie (z twardą podpórką numerycznie rozbudowanej klasyfikacji), a na dodatek z wyraźnie wybitą tezą (i to już w pierwszym akapicie pierwszego rozdziału!). Ale ta retoryczna i zarazem intelektualna dziarskość mgra Artura Hellicha połączona z jawnie głoszonym pragmatyzmem nie jest bezduszna, zaś pewna lakoniczność nie oznacza bynajmniej powierzchowności. Co więcej, dysertacja oprócz klarownie wyłożonego rozumowania przynosi serię bardzo interesująco dobranych przykładów literackich, które badacz analizuje z werwą i polotem. Niespodzianką jest rozdział ostatni, dłuższy, szczególnie wartki narracyjnie i nieco odmienny w tonacji, gdzie na 30 stronach poświęconych osobie, światopoglądowi i wreszcie autobiografii Paula Fayerabenda dostajemy coś w rodzaju żarliwego wyznania miłości/podziwu skierowanego ku anarchicznemu sposobowi myślenia i opowiadania austriackiego filozofa.

Za jasnością i zgrabnością dysertacji zapewne stoi charakter autora, korygowany dyscyplinującą rękę promotorki, ale tak czy inaczej, ów energiczny i przejrzysty dyskurs jest wyróżnikiem warsztatu młodego badacza i niewątpliwym atutem całej pracy. Podoba mi się klarowny układ, także rozdzielenie całości na część teoretyczną i materiałową, choć ta druga połówka wbrew pozorom nie jest bezpośrednią ilustracją, ani praktycznym rozwinięciem teoretycznych i historycznych założeń wstępnych. Pierwsza część zaczyna się - jak się rzekło - od „trzęsienia ziemi”, bo tak pobrzmiwa generalna teza o polskiej „niechęci do wyznawania” i jej uściślenie - jakoby „zwrot autobiograficzny” dokonał się u nas dopiero po 1989 roku. Uzasadnienie jest krótkie i rzeczowe, podparte autorytetem badaczek Małgorzaty Czerwińskiej oraz Ingi Iwasiów, aczkolwiek autor zrećnie radykalizuje ich stanowiska. Przekonująco brzmi także wstępne uporządkowanie materiału i jego gatunkowej natury, tj.

rozdzielenie introwersyjnie nastawionej autobiografii wobec ekstrawertycznego pamiętnikarstwa. Dalsza specyfikacja genologiczna - czego autor jest świadom - jest już kwestią delikatną, bo znacznie trudniej rozdzielić autobiografię od wspomnień. Jednak badacz znowu pomaga sobie mocnym podziałem na autobiografie zakorzenione w sferze *bios* oraz na pamiętniki, dzienniki i wspomnieniowo rozbudowane memuary osadzone w wegetatywnie pojmowanym wymiarze *zoe*. Ufam też przekonaniu, iż Polacy w wieku XIX (i XX także) mieli silne poczucie, że opowiadanie o sobie prowadzone wedle wzorca Augustyna musi mieć (podobnie jak w przypadku świętego) potężny *bios* - osobowe i osobiste uzasadnienie aktu konfesyjnego. Ten kto wyznaje, ma poczucie głoszenia czegoś ważnego a nawet fundamentalnego, na miarę spotkania z Bogiem, a przynajmniej przebudzenia sumienia (co pokazuje szkolny przykład spowiedzi Jacka Soplicy). Zapewne zaważył na tym maksymalizm romantyków; zwłaszcza Słowackiego, (który bodaj pierwszy pisał Ja z wielkiej litery). Jeśli uwierzmy Skwarczyńskiej, iż *Genezis z Ducha* jest „autobiografią duchową”, to wypada dodać – „umiarkowaną”, bo przymiarką do niej byłaby *Godzina myśli*, zaś wersją finalną, skrajną *Król-Duch*. Mickiewicz natomiast miał tu fundamentalną trudność, w Lozannie ledwie zaczął – „Już w rodzicielskim domu byłem złe dziecię...” i zaraz urwał (na zawsze). Nie należy się zatem dziwić rodakom, że po takich doświadczeniach lekturowych stracili śmiałość. Zwyczajny śmiertelnik, a także naukowiec i świadom rzeczy badacz literatury, do niedawna wstydził się podobnej zuchwałości. Hellich świetnie puentuje to zjawisko (s. 26) cytatem Edwarda Balcerzana z jego *Perehenii i słoneczników* (2003). Mogę mu przytaknąć wspomnieniem katowickiej promocji tej książki: głęboko uzasadniona (historycznie i egzystencjalnie) relacja „repatrianta” z Wołynia zaskoczyła rówieśników autora (i starszych od niego polonistów), którzy z trudem ukrywali zażenowanie, natomiast dla nas młodszych i najmłodszych nie było w tym nic nadzwyczajnego. Nie poszło o wiek, ale o generacyjny stosunek do strukturalizmu i genetyzmu. Doktorant ma rację, ta zmiana była wyraźna, uchwytna pokoleniowo i zapewne przyszła wraz ponowoczesnym „bezwstydem”. Ale w moich uszach niefortunnie brzmi sąd, jakoby owa przemiana „nastąpiła dopiero po przyjęciu przez Polskę ustroju liberalno-kapitalistycznego w 1989 roku, wtedy bowiem spopularyzowany został anglosaski model indywidualizmu” (s.?). Nie liberalizm o tym rozstrzygnął, ani indywidualizm czy kapitalizm, ale totalitaryzm (przewyciężony). Owszem, totalitarnego aspektu autobiografii (w kontekście hitleryzmu) dotyka Hellich w rozdziale 5 podkreślając dziejowo-genologiczną prawidłowość: w świecie absolutnej przemocy miejsce autobiografii zajmuje świadectwo. Ta zasada dotyczy

też Polski przed rokiem 1989 - „poeta pamięta”, zawoła „bądź wierny idź”, splunie na „czarną pianę gazet”, odwaga popycha go do desperackich aktów; więc napisze, najlepiej na murze, swoje „no pasaran”, ale nie autobiografię. Podstawowym i wymiernym czynnikiem cezury 89 roku była bowiem cenzura. Zarówno instytucjonalna cenzura prewencyjna jak autocenzura (prywatna, uwewnętrzniona) miały przecież fundamentalny wpływ na funkcjonowanie, a nawet istnienie dokumentu osobistego, to samo można powiedzieć o jakimkolwiek rozumieniu „dyskursu szczerości”, któremu Doktorant poświęca sporo uwagi w różnych miejscach pracy. Ale przy okazji jakby umykała oczywistość, że „szczerzy” zapis był nie tylko niecenzuralny, więc niemożliwy do publikacji, ale też nieostrożny, głupi, szkodliwy a nawet samobójczy lub zabójczy dla innych (wyznanie zmienia się w zeznanie). Nic dziwnego, że dyspozycję autobiograficzną mieli pisarze działający na emigracji - Gombrowicz, Miłosz, Haupt, Bobkowski, Herling Grudziński, Leo Lipski. Inaczej w PRL, zwłaszcza w czasach stalinowskich, choć właśnie wtedy pojawiła się importowana z ZSRR unikatowa instytucja partyjnego „wyznania wiary” skodyfikowana przez literaturę socrealistyczną. Ściślej mówiąc, były to dwa parareligijne akty: entuzjastyczne deklaracje neofitów wstępujących „w szeregi” oraz partyjna „samokrytyka” (pisał o tym gatunku m.in. Grzegorz Wołowicz w tomie zbiorowym *Genologia dzisiaj*). Hellich oczywiście zna te fenomeny, ale przywołuje je dopiero w szczegółowych rozważaniach intertekstualnych dotyczących Brandysa, w podrozdziale pt. *Partyjna samokrytyka a wielkie narracje*. Mam jednak wrażenie, że traktuje rzecz ahistorycznie, biorąc tu za przewodnika Lyotarda. Bo jak się ma Lyotardowskie określenie marksizmu mianem „opowieści emancypacyjnej” do przemocowych, czy wręcz zbrodniczych praktyk *pierekowki* dusz? To nie ma nic wspólnego z emancypacją (ani nawet z marksizmem jako doktryną filozoficzną). Jest dokładnie na odwrót - „samokrytyka” była aktem całkowitej rezygnacji z własnego indywiduum (woli i godności) na rzecz ubóstwionej/zdemonizowanej doktryny/partii. Badacze socrealizmu wielokrotnie i z fascynacją opisywali owe ekstatyczne „wyznania” i poprzedzające je „iluminacje” wpisane w poetykę „produkcyjniaka”, więc może nie warto po raz kolejny wracać do tak nędznego i błahego historycznie (a nawet ilościowo) zjawiska? Socrealistyczna powieść, to był co najwyżej „pryszcz” na ciele literatury polskiej, kiedy jednak pytamy o „popęd autobiograficzny” pisarzy żyjących w PRL-u, to tamta perwersyjna czy wręcz skandaliczna odmiana *confessio* wyłania się jako widmo straszące każdego pisarza, który wtedy żył.

Tyle historycznego przypomnienia, które dla dzisiejszego 30-latką musi być wiedzą egzotyczną, wręcz kuriozalną, więc do śmiało postawionej tezy o polskiej „niechęci autobiograficznej” dodałbym jeszcze kontekst współczesny, (choć pewnie też zanurzony w przeszłości). Jeśli socjologowie eksponują wyjątkowo niski (na tle europejskim) poziom wzajemnego zaufania Polaków, to dlaczego tak się dzieje? Jeśli nadal jesteśmy nieufni, to znaczy, że niezdolni do wzajemnej otwartości i szczerości, więc także do konfesyjnej wylewności. Czyżby postmodernizm animował jedynie falę „miękkiej” intymistyki, która wyznaczenie traktowało naskórkowo lub pozornie? Świadczyłyby o tym zastępcze czy może tylko ssiostżane wobec autobiografii (wskazane w rozdziale II) formy „wywiadu-rzeki”, a zwłaszcza „abecadła” i „alfabety”, stanowiące polski fenomen i to na masową skalę (chwała Autorowi, iż to zauważył!). Postmodernizm wybrał zatem formy konfesyjne nie wymagające szczerości, prawdomówności, odwagi itp. (cokolwiek by te słowa miały znaczyć). A jeżeli nad Polską nadal ciążyło „brzemie przeszłości”, to Artur Hellich słusznie przeniósł uwagę na „lekki” autobiografizm; mniej interesuje go ten „prawdziwościowy”, czyli „stopnia zero” albo „pierwszego stopnia”, a najbardziej konfesyjność „stopnia drugiego”, czyli mówiąc za Benvenistem - praktyki swobodnego żonglowania pierwszą osobą.

Dla tak ukierunkowanych zainteresować rozstrzygające znaczenie ma podtytuł dysertacji - „strategie gry z konwencją”. Teraz wszystko staje się jasne! Bo tytuł główny - *Autobiografia drugiego stopnia* – działa inaczej: laika wciąga obietnicą wtajemniczenia w „wyższy poziom”, zaś czytelnik najbardziej kompetentny rozpozna tu Barthese’owską aluzję, zarówno do tytułu jego młodzieńczej pracy *Stopień zero pisania*, jak też do własnej autobiografii (*Roland Barthes*) rozjaśnionej olśniewającą definicją - „Piszę: to pierwszy stopień języka. Potem piszę, że piszę: to już stopień drugi.” Po tym cytacie (str. 43) chyba całkowicie rozumiem intencję autora, więc jego dalsze odwołania do polskich poprzedników (z Zieniewiczem, Gosk, Czaplińskim itd.), jak też rozrachunki z machiną metodologiczną, jaką są *Palimpsesty* Genette’a, biorę za akademicki rytuał, ale konieczny, bo dysertacja wymaga odtworzenia horyzontu teoretycznego i przywołania stanu badań. Nie wnिकam zatem w szczególności Hellichowych uściśleń koncepcji „literatury do potęgi drugiej” (może nieco więcej uwagi powinien poświęcić należy się suplementarnej wobec jego tezy rozprawy J. Wierzejskiej, która wybiera obiekty badań w sposób bardziej przewidywalny?). Kłopot mam tylko z jednym akapitem na str. 40:

„Jeśli za ironiczny przedmiot odniesienia polskiego postmodernisty uznać figurę romantycznego wieszca, który jak Mickiewiczowski Konrad ubolewa, że ‘język kłamie głosowi , a głos myślom kłamie’ albo jak Słowacki w *Beniowskim* – wierzy, że język ‘giętki’ może pomieścić wszystko ‘co pomyśli głowa’, wówczas trzeba się zgodzić , że dystans do romantycznego paradygmatu (albo wręcz jego kres) będzie możliwy tylko wtedy, gdy literaci zrezygnują z patetycznej troski o ekspresję podmiotowej treści [...] Ośmieszenie romantycznej instytucji autora jest niewątpliwie pierwszym krokiem na drodze pogłębienia takiej samoświadomości”.

Czepiam się tych 2 zdań, bo autor deklaruwał „filologiczne” ukierunkowanie, a tu filologa musi zaskoczyć interpretacja słów Konrada, który w cytowanym zdaniu owo „kłamstwo języka” wyklada w duchu bliskim pragmatyście – „słowa myśl pochłoną i tak drżą nad myślą”, że potem ludzie zrobią z nimi co zechcą! Dodam, że w dalszej części Wielkiej Improwizacji improwizator „tonowo” przekracza język, by niewerbalnie poruszać gwiazdami. W *Beniowskim* natomiast nie widzę śladu „patetycznej troski o ekspresję podmiotowej treści”, i trudno mi uwierzyć, że jakiś postmodernista góruje „samoświadomością” nad wieszczem ironizując z naiwnej „wiary Słowackiego” w mimetyczną czy ekspresywną moc słów. Jest inaczej, poeta deklaruje tu zdolność kreacji, bezgraniczną wolność wyobraźni. Co więcej, tego poematu nie da się przeczytać bez ironii, bo „język giętki” i „miętki”, to ośliniony (jak zwykle u Słowackiego) jęzor, czy ozór, zdolny jęczeć stępowo, syczeć żmijowo albo giąć się jak nimfa, i ta „rozmaitość - czytamy dalej – może być pokrzywą”, co oznacza palące „wykrzywienie”, gdyż „rozmaitość” głosów jest programowa, a nadto jest anarchiczna – „nie trafia ładu”. Norwid miał rację, Juliusz mówił językami wszystkich ludzi, „płciów” i aniołów, dlatego *Beniowski* jest zapewne początkiem i szczytem polskiej ironiczności (a jest jeszcze *Podróż do Ziemi Świętej*, może najbardziej ironiczna polska próba autobiograficzna). Twórczość Gombrowicza mocniej to jeszcze potwierdza niż wykład Cypriana Kamila. A co ma do tego romantyzm? Słowacki był ironiczny, Mickiewicz nie był, a Krasiński jeszcze inaczej - czy można to uogólnić? Po co upierać się, że romantyzm (nie) był ironiczny (a co z „ironią romantyczną”)? Jeśli postmodernizm był krytyczny wobec przeszłości (a chyba nie był?), to dystansował się wobec - *nomen omen* - modernizmu, którego romantyzm stanowi jakieś wczesne ogniwo. Jeśli zaś ponowoczesność miała by w szeroko pojętej nowoczesności posiadać jakiegoś przeciwnika (wroga?), to raczej w oświeceniu (por. Lyotard, Habermas, Bauman) niż w romantyzmie. Jeśli zaś w cytowanym

zdaniu szło tylko o zerwanie z romantyzmem „wieszczym”, to pracujemy na jałowym biegu, bazujemy bowiem na myślowej tautologii: wszak każde prorokowanie dotyczy przyszłości, a ironia (a także autobiografia) – przeszłości. Czy historia literatury potrzebuje takich liczmanów? (tym bardziej, że osobliwy przypadek *Króla-Ducha*, czy z drugiej strony *Pana Alfonsa* rozbije podobne etykietowanie). To zastanawiające, jak niefrasobliwe i dyletanckie spekulacje powstawały pod koniec XX wieku wraz z pasją definiowania (?) postmodernizmu; ta łatwość pryncypialnych definicji i abstrakcyjnych modeli drastycznie rozmija się z duchem filologii. Dlatego dziwię się „użyciu” *Dziadów* i *Beniowskiego* na str. 40, ale nie dziwię się, że zdarzyło się to w toku referowania ekulubracji Barana i Kasperskiego.

Część druga rozprawy, interpretacyjna, nie jest prostą ilustracją; bo rozrasta się do serii studiów portretowych, w których każdy z mistrzów autobiografii inaczej do niej dochodzi w swoistym procesie poszukiwania. U Głowińskiego jest to ruch od *Czarnych sezonów* do *Kręgów obcości*; u Brandysa od *W poszukiwaniu przez Sobie i Państwu* do *Matej księgi*, u Rotha dzieje się to za sprawą serii powieści a zarazem narratorów o znamionach autorskiego *part parole* a (Portnoy, Kepesh, Tarnopol, Zuckerman). Szkoda, że „portretowy” charakter pracy nie został ujawniony już w spisie treści, gdzie podane zostały tylko tytuły rozdziałów (bez podtytułów zawierających nazwiska). *Nota bene* każda z formuł tytułowych (głównych i dopełniających) kapitalnie nazywa kolejny „przypadek”. Głowiński to sprawca przejścia „od świadectwa do autobiografii”; nazwisko Brandysa oznacza „Pastiszowanie autobiografii” i „Tożsamość przemilczaną”, Sandauer sygnuje – „Automitografię”; Roth – „Meta-autobiografię”; wreszcie Feyerabend – „Autobiografię niepoważną”. Po raz trzeci zatem (a w 6 odsłonach) mamy do czynienia ze sformułowaniem twardej tezy, bo przecież taki walor ma łączenie pisania Głowińskiego z poetyką świadectwa, Brandysa z pastiszowaniem, Sandauera z mitologizacją (co przy okazji eksponuje bliskość Schulza), Rotha z poziomem „meta”, Feyerabenda z ludyczną „pluralizacją”. Doceniam inwencję autora i walory retoryczne wymyślonych przez niego haseł, które krótko, zrozumiale i zręcznie nazywają pisarskie gesty przekształcenia modelu autobiografii. Już sam zestaw autorów jest niebanalny, wytyczony z komparatystycznym rozmachem (wędrujemy do USA i Austrii). Uzasadnione jest rozpoczęcie od Głowińskiego, który dysponując wiedzą teoretyczną i paraliterackim „świadectwem” *Czarnych sezonów* układa jednak autobiografię tradycyjną. Startujemy zatem od „pierwszego” stopnia, by na stopniu drugim zobaczyć autobiografie „graczy” - Brandysa, Sandauera, Rotha

(nota bene są to książki napisane wcześniej niż *Kręgi obcości*). Kończy zaś Hellich „przypadkiem” rymującym się z „figurą” otwierającą wywód, bo Głowiński i Fayerabend, to profesorowie, eksperci w zakresie branżowego dyskursu, obaj dotknięci wojenną traumą (Austriak - kalectwem), choć stali jednak po przeciwnej stronie. Być może dlatego pierwszy ostrożnie trzyma się tonu akademickiego umiaru, a drugi szarżuje w stylu pikarskim. Słychać to nawet w tytułach - Głowiński zakreśla ochronne „kręgi”, natomiast Fayerbenda mówi o „Zabijaniu czasu”, nie boi się czasownika „killing” jakby zapominał, że na ochotnika wstąpił Wehrmachtu i brawurowo (na medal) dowodził oddziałem czołgów. Szarża nadal pozostaje jego zasadą, ale ja też podzielam Hellichowy podziw dla Fayerabanda, i przy okazji mam podziw dla Hellicha, który bodaj pierwszy wśród polonistów wykorzystał intelektualny ładunek *Against Method*. To czyni z jego pracy rodzaj manifestu.

Reasumując, to świetnie, bo z rozmachem i ożywczo wyłożona teza, uprawomocniona filologicznymi analizami (szczególnie subtelnymi przy „kanarkowych” motywach Brandysa), a także funkcjonalnym językiem, który mimo pragmatycznej „przezroczystości” docenia rolę etymologii kapitalnie rozwijając kilka kluczowych pojęć (choć „dostrajanie” na str. 83 interpretowałbym raczej muzycznie, nie krawiecko). Można by jeszcze dodać parę zasłużonych komplementów i wystawić celującą ocenę. Ale kończąc zasadniczą część recenzji, chciałbym jeszcze do niej dopisać swoiste postscriptum, bo w zarówno w samej pracy i jak w jej rozumieniu widzę pewną nadwyżkę.

Znakiem owego nadmiaru jest szósty rozdział dysertacji, naruszający kompozycyjną symetrię, jakby suplementarny, bo drugi z rzędu poświęcony temu samemu autorowi i tekstowi (na dodatek „małemu”). Widać, że *Mała księga*, ale sprawa duża - Brandysowy tytuł niewątpliwie ociera się o paradoks (czy *Księga* może być mała?), więc na pewno warto byłoby dalej pociągnąć analizę mikrologiczną, lecz już samo wyeksponowanie pobocznego tekstu jest znaczące, tym bardziej, że krytycy i badacze autobiografizmu (oraz samego Brandysa) a więcej uwagi poświęcali *Miesiącom* (dziennikowi, który mimo programowej prostoty nie wytrzymał próby czasu). Tymczasem *Mała księga* okazuje się nie tylko subtelną grą z poprzednimi tekstami (*Pastiszowanie autobiografii*), ale ujawnia też wymiar „kryptograficzny”, albo kryptonimiczny, jakby powiedział Ireneusz Piekarski za Tarok i Abrahamem. Wymowny tytuł tego rozdziału - *Tożsamość przemilczana* - eksponuje kwestię żydowskiego pochodzenia, a raczej związane z nim tabu. Ten problem dotyczy jednak nie tylko Brandysa, ale też

Głowińskiego, trochę inaczej Sandauera, a nawet Rotha, który groteskową elokwencją reaguje na lęk i wstyd związany ze swoją żydowskością. Więc tytułowe hasło 6 rozdziału można odnieść do całości pracy, a ten rozdział dodatkowy uznać za kluczowy, bo dotyczący kwestii fundamentalnej dla badanego tu nurtu intymistyki (od Majmonidesa zaczynając). Hellich pragnący mówić o „strategii gry z konwencją”, nie może jednak uciec od elementarnej „konwencji milczenia”. Na myśli mam pakt milczenia o żydowskiej tożsamości (swoiste *precarium*) jaki w obliczu Zagłady zawarli Polacy żydowskiego pochodzenia z resztą polskiego społeczeństwa; ów pakt został „odnowiony” w roku 1968 i nie zniknął natychmiast po odzyskaniu wolności. Nie przestrzegali go antysemita o mentalności szmalcowników (których nieszczęście miał spotkać Głowiński) i propaganda Moczarowska (choć „marcowe gadanie” chętniej przywoływało miano „syjonistów” niż o Żydów). Do wyjątków należał też Sandauer otwarcie mówiący i piszący o „żydostwie” nie tylko swoim, ale też innych pisarzy (milczących w tej kwestii), jakby nie istniał tu jakikolwiek problem (ten skomplikowany przypadek wart jest osobnego studium). Cisza panowała nawet w rodzinach mieszanych i wśród najbliższych przyjaciół, nawet przy pożegnaniu na dworcu Gdańskim. Te pół wieku dosłownego milczenia o Żydach wydaje mi się z pewnej perspektywy istotniejsze niż polski antysemityzm czy filosemityzm. Tabu było tak skuteczne, że Polacy zapomnieli jaką literą (wielką czy małą) należy pisać to niewymowne słowo na literę „ż”. W polskiej literaturze ta epoka zaczyna się symbolicznie w roku 1942 od tzw. Ginczanki (co ma na oku Hellich), a kończy „krzyżującym” milczeniem w *Tworach* Marka Bieńczyka (1999), ale Hellichowa interpretacja *Matej księgi* wzbogaca i komplikuje ten obraz, więc nawet - rzuca światło na rozumienie całej naszej nowoczesnej intymistyki. Tak oto rozprawa „teoretyczna” okazuje się „tożsamościową”. Szukając ciekawych autobiografii „drugiego stopnia” stał się Artur Hellich badaczem polsko-żydowskiej autobiografistyki (Rotha vel Podolskiego też tu „upycham”, tylko Feyerabend byłby dodatkiem „z innej bajki”). Można sądzić, że dokonało się to mimochodem, a nawet przypadkiem, bo brak jakichkolwiek sygnałów we wstępie czy zakończeniu. Ale nie intencje się liczą, lecz efekty: chciał napisać pracę genologiczną, a przy okazji powstała „judaistyczna”; mamy zatem dwa studia w jednym. Mówiąc kolokwialnie: „od przybytku głowa nie boli”, choć w przyszłości, w drukowanej wersji doktoratu warto byłoby oba plany zintegrować – „gry formalne” zgrać z wymiarem genetycznym i tożsamościowym. Tym bardziej, że owo rozpoznanie polsko-żydowskiego autobiografizmu potwierdzają inne przypadki; choćby dialogowa książka Torańskiej (*Śmierć spóźnia się o minutę*), gdzie oprócz Głowińskiego także

Rotfeld i Bristiger opowiadają o swym życiu (ten ostatni, co ciekawe w stylu nieco pikarejskim). W tym kręgu postaci pierwszorzędą figurą był jednak Roman Zimand (to on ośmielił Głowińskiego do osobistego tonu), sam żywo zainteresowany intymistyką (co przywołuje Hellich), pisał z mocno zarysowanym „ja” i dużą dozą ironii, ale co najważniejsze - od czerwca 1969 roku układał osobliwą, bo formalnie i stylistycznie rozdwojoną autobiografię, której zachowane fragmenty ukazały się drukiem w pośmiertnym tomie jako *Materiał dowodowy*. Wydawca tego tomu nazywa go „donosem na samego siebie”; co nie dziwi, jeśli zacytować pierwsze zdanie *Materiału*: „Ktokolwiek chce – tu i teraz – rozpatrzeć swoje winy lub zasługi....” Konfesyjny charakter jest oczywisty, choć autor układa traktat polityczno-historyczno-ekonomiczno-prawny, w którym korzysta nawet z rocznika statystycznego; a równocześnie stawia obok *Noty*, ostentacyjnie prywatne zapiski dotyczące odmowy wyjazdu z Polski, a co za tym idzie - rozstania z córką. Tu jeszcze dobitniej wybrzmiewa wyznanie winy - zdrada żydostwa, polskości, a nawet człowieczeństwa, za co uważał komunistyczne zaangażowanie, za które, jako Polak żydowskiego pochodzenia musi pokutować, właśnie w Polsce, bo tylko tu może dać sensowne świadectwo. Zimand - ironista podobnie jak inni „zeświecczeni, zlaicyzowani, zateizowani”(121) bohaterowie rozprawy Hellicha, nie może pójść do spowiedzi, a na psychoanalitka nie liczy, więc pozostaje mu autobiografia, do której odnosi się jak pobożny Żyd do Księgi, ale przecież gier z formą nie zaprzestaje.

To, co dotyczy doświadczenia żydowskiego, można pewnie rozszerzyć na strefę rozmaitych tabu (etnicznych, religijnych itp.), a nawet zakazy polityczne, bo tak czytam wspomnieniową książkę Czesława Zgorzelskiego *Przywołane z pamięci* (1996), która pewnie by nie powstała, bo autor zdaje się wyjątkowo powściągliwy (na dodatek formalista!), ale przez kilkadziesiąt lat musiał milczeć o swojej wojennej przeszłości, której finałem była bitwa pod Surkontami (pierwsze zbrojne starcie Armii Krajowej z Armią Czerwoną) – i jak widać – nie wytrzymał. Zgorzelski oczywiście nie wstydził się swoich szlachecko-kresowych korzeni, inaczej natomiast przeżywa się śląski i na dodatek plebejski rodowód, jak choćby Kazimierz Kutz piszący autobiograficzną *Piątą stronę świata*. Wiem co mówię, bo śląskość nawet na Uniwersytecie Śląskim (na pewno na Wydziale Filologicznym) była tak krępująca, że de facto nieobecna, przynajmniej do 25 kwietnia 1996, kiedy wspólnie ze Stefanem Szymutką w konferencyjnych referatach (*Nagrobek ciotki Cili* i *Pod Klopsztangą*) uderzyliśmy w ton autobiograficzno-etniczny. Tamten *coming out* zapoczątkował serią analogicznych konfesji

śląskości, ale też wzajemnych odwołań i aluzji (np. Jochemczyka do Szymutki) - więc gier z konwencją także.

Jeśli recenzent zaczyna opowiadać o własnych doświadczeniach, to na pewno powinien kończyć, ale zarazem jest to znak, że ta inspirująca rozprawa poruszyła mnie tak dalece, że próbuję do niej coś dopowiedzieć własnego; nie tylko ją oceniam, ale też z niej czerpię, dialoguję i próbuję podzielić się z innymi. Stwierdzam zatem z całkowitym przekonaniem, że rozprawa doktorska mgra Artura Hellicha pt. *Autobiografia drugiego stopnia. Strategie gry z konwencją* spełnia wymogi stawiane pracy doktorskiej i wnoszę o dopuszczenie go do dalszych czynności przewodu doktorskiego.

A handwritten signature in blue ink, reading "A. Nawalen". The signature is written in a cursive, flowing style.

Katowice, 27 lutego 2017